

6. Europejski Kongres Ekologiczny (Marsylia, 7–12 IX 1992 r.)

Z Instytutu Ekologii PAN pojechało na tę imprezę ponad 20 osób. Podróżowaliśmy autobusem przez pół Europy, dwa tygodnie byliśmy poza domem. Podróż i wrażenia, jakich ona dostarczyła, były silniejsze od tego, co w mojej pamięci pozostawił Kongres. Nie sposób więc opowiadając o Kongresie nie wspomnieć o całej naszej wyprawie do Marsylii.

Wyruszyliśmy z Dziekanowa Leśnego na parę dni przed rozpoczęciem Kongresu. Po dwudziestu minutach jazdy wróciliśmy do Instytutu, kierowcy zapomnieli bowiem kart do tachometru. Można by to uznać za zły znak przed podróżą, ale myśmy pojechali dalej. I rzeczywiście, tego dnia już nic więcej się nie wydarzyło. Późno w nocy dojechaliśmy do Zgorzelca i tam przenocowaliśmy w hotelu.

Rano po przebudzeniu spostrzegliśmy, że naszego autokaru nie ma na parkingu. Okazało się, że kierowcy pojechali nim do pobliskiej bazy PKS naprawić ciekący zbiornik na benzynę i tachometr, który znowu odmówił posłuszeństwa. Zmagania z techniką trwały parę godzin i dopiero koło południa przekroczyliśmy granicę polsko-niemiecką. Zaświeciło słońce, zrobiło się cieplej, a za oknami naszego

wysłużonego sanosa zaczęły przesuwać się zielone pagórki Saksonii. Wschodnie Niemcy dwa lata po zjednoczeniu bardzo się zmieniły. Niewiele można dostrzec przez parę godzin podróży autobusem, można jednak w czasie jazdy na własnym siedzeniu sprawdzić, że jakość dróg we wschodnich landach zmieniła się nie do poznania. Wszystkie ważniejsze połączenia są budowane od nowa. Asfalt jest równutki, zaś oznakowania, parkingi i całe otoczenie dróg zrobione są według zachodniemieckich standardów. Z zazdrością przyglądamy się rezultatom dwóch nie zmarnowanych lat zjednoczonych Niemiec. Niepostrzeżenie minęliśmy dawną granicę między państwami niemieckimi. Wszystkie ślady podziału Niemiec są dziś bardzo starannie zatarte. Wieczorem wjechaliśmy do Bawarii. Ogromny ruch panuje na autostradzie. Jest ciemno i chłodno, pada deszcz. Nie tylko kierowców, ale także nas, pasażerów, oślepiają reflektory pędzących z przeciwka po autostradzie samochodów. Jedziemy koło Beyreuth, omijamy Norymbergę i tuż przed północą zatrzymujemy się w mieście Heilbronn. Zaspany hotelarz nawet w środku nocy nie traci rozsądku. Dwudziestu niespodziewanych gości w pustawym hotelu jest warte tego, aby opuścić cenę. Tej nocy zasypiamy więc w eleganckich jednoosobowych pokojach z łazienkami i kolorowymi telewizorami.

Rano, a była to sobota, powstał problem, jak nie budząc śpiącego jeszcze miasteczka uruchomić silnik w autobusie, o którym wiadomo, że gdy jest zimny, to huczy i bardzo dymi. Udało się! Zostawiamy w Heilbronn chmurę czarnego dymu i ruszamy na południe. Jedziemy wzdłuż Renu. Nie pilnowaną granicę francusko-niemiecką przekroczyliśmy pod Miluzą. Krajobraz jakby pozostał ten sam, ale przydrożna architektura zmieniła się. W Niemczech królował porządek i prostota, we Francji widać rozmach i fantazję. Autostrady są szersze, choć bardziej puste, a to co dookoła nich zbudowano wyróżnia się pomysłowymi kształtami. Jedziemy wzdłuż Wogezów, mijamy Besancon i koło Dijon skręcamy na południe, prosto w kierunku Marsylii. Po prawej stronie widać wzgórze Masywu Centralnego. Zapada zmierzch. Już z zapalonymi światłami mkniemy imponującym systemem autostrad prowadzących przez Lyon. Nocujemy w Valence, tylko 200 km od Marsylii.

Następnego dnia z rana wita nas piękna, słoneczna pogoda. Niebo jest błękitne, a jego odcień nie przypomina nieba północy, do którego przywykliśmy w Polsce. Pachnie południem, czuć niedalekie morze. Po obu stronach autostrady wapienne wzgórza, na nich ruiny zamków, kościoły. Roślinność też inna, rozpoznaję cyprysy, dużo sadów. W pewnej chwili droga wprowadza nas pomiędzy skały, przejeżdżamy przez tunel i już widać błękitną zatokę, a w dole miasto. Jesteśmy w Marsylii.

Nie zabłądziliśmy w plątaninie wąskich marsyjskich uliczek. Podjechaliśmy prosto pod budynek Uniwersytetu Prowansalskiego. Okazuje się jednak, że przyjechaliśmy za wcześnie. Choć jest to dzień, w którym przyjeżdża większość uczestników Kongresu, to biuro organizacyjne jest jeszcze nieczynne. Kwaterujemy się w dość obskurnym akademiku. Część z nas ma noclegi w innym, odległym miejscu, więc odjeżdża tam autobusem. Później dowiedzieliśmy się, że nie był to dla nich koniec przygód tego dnia. Hotel wprawdzie znaleźli, ale nie było w nim żywego ducha. Trzeba było czekać parę godzin na jego otwarcie. Czekali więc, a w tym czasie złodzieje dobrali się do naszego autobusu. Zginęło parę tysięcy franków.

O wyznaczonej porze jesteśmy znowu przed biurem organizacyjnym. Organizatorzy są wprawdzie w środku, ale nie są jeszcze gotowi na nasze przyjęcie. Beztroska Francuzów nie psuje nam jednak humorów. Dookoła rozpościera się interesujące miasto, ruszamy więc na jego zwiedzanie.

Obrady zostały zainaugurowane wykładem jednego z Francuzów. Okazało się wtedy, że wykładowca mówi po francusku. Mało tego, prowadzący obrady także mówi po francusku. Wszystko jest wprawdzie tłumaczone na angielski, ale wykład, choć prowadzony z ekspresją i wspomagany gwałtowną gestykulacją, jest chaotyczny i niejasny. Do tego wszystkiego dokładał się jeszcze tłumacz, który nie miał lekkiego zadania w czasie tłumaczenia tych słownych fajerwerków. Tak było już prawie we wszystkich przypadkach, gdy na mównicy pojawiał się Francuz. Obrady toczyły się w trzech salach, ale tylko w jednej tłumaczone były na angielski.

W Kongresie, zorganizowanym przez Europejską Federację Ekologiczną i Francuskie Towarzystwo Ekologiczne, wzięło udział 550 uczestników. Reprezentowane były wszystkie gałęzie ekologii, żadna jednakże nie na tyle licznie i dobrze, aby mogło dojść do jakichś ciekawszych spotkań i dyskusji. Zauważyłem, że średnio rzecz biorąc przypadkowo spotkana na Kongresie osoba nie miała prawie żadnego wyobrażenia o tym, czym ja się zajmuję, a i odwrotnie trudno mi było zrozumieć do końca, co jest przedmiotem jej badań. A wszystko z tej prostej przyczyny, że nasze zainteresowania były najczęściej zbyt odległe. Trudno jednak czegoś więcej oczekiwać po imprezie o tak ogólnym charakterze. Udaje się natomiast od czasu do czasu na takie spotkania ściągnąć uczonych o znanych nazwiskach.

W Marsylii po raz pierwszy zobaczyłem Roberta Maya. Dla tych, którzy zajmują się ekologią teoretyczną, nazwisko to znaczy wiele. Dokonał on dużego postępu w tej dziedzinie, a jego prace cytowane są w każdym szanującym się podręczniku ekologii. Choć trzeba powiedzieć, że jest on kontynuatorem jednego zaledwie nurtu we współczesnej ekologii, który w dużym skrócie można by nazwać „macarthuryzmem”. Robert May jest niewysokim, wątlwym człowiekiem. Z talentem zawodowego „showmana” przedstawiał on swój wykład o tym, w jaki sposób proste oddziaływanie między pasożytem i żywicielem może doprowadzić w jednorodnej przestrzeni do niejednorodnego rozmieszczenia obu gatunków. Nie podobało mi się to wystąpienie. Wydaje mi się, że niewiele było tam rzeczy nowych. Robert May nie poradził sobie z prowadzącym tego przedpołudnia sesję Francuzem, który zwracał się do wszystkich po francusku, a pod koniec wykładu natarczywie przypominał wykładowcy, ile zostało mu jeszcze minut. Robert May opędył się od niego bezskutecznie, powiedział mu parę przykrych słów, ale kosztowało go to wiele nerwów, a tok wykładu został skutecznie zakłócony. Gdy się to wszystko skończyło, Robert May opadł wyczerpany na ławkę i długo dochodził do siebie.

Zaraz po Robertcie Mayu występował Stephen Stearns. Nie użył tej samej co poprzednik metody prezentacji. Pokazał się raczej jako chłodny profesjonalista. Wydaje mi się, że przedstawił rzecz nową w ekologii. Mówił mianowicie o próbie zastosowania manipulacji genami w eksperymentach ekologicznych. Chodziło o ustalenie, jaki charakter ma „trade-off” między reprodukcją a przeżywalnością, czy nie jest przypadkiem tak, że wcześniej rozpoczęta i intensywniejsza reprodukcja skraca okres życia. Otóż Stephen Stearns argumentował w sposób następujący: w takich przypadkach tradycyjnie prowadziło się długotrwałe i pracochłonne eksperymenty selekcyjne, a można przecież metodami inżynierii genetycznej tak zmodyfikować genom, aby niemal natychmiast uzyskać osobnika o pożądanym cechach. Nie dziwię się, że pracujący w Bazylei Stephen Stearns wpadł na taki pomysł. Uniwersytet w Bazylei sąsiaduje bowiem z wielkimi koncernami farmaceutycznymi bardzo zainteresowanymi inżynierią genetyczną.

Organizatorzy Kongresu pozwolili mi także zobaczyć i usłyszeć Johna Krebsa, autora znanego podręcznika ekologii behawioralnej. Mówił on o przykładzie zastosowania teorii optymalnych strategii żerowania w hodowli owiec. Był to wspaniale przeprowadzony wykład, jasny i precyzyjny, poparty nie tylko starannie przemyślaną gestykulacją, ale niemalże tańcem całego ciała. Jednym słowem obejrzelismy prawie balet na mównicy. Czego to nie potrafią wykładowcy najlepszych brytyjskich uniwersytetów!

Z przyjemnością wysłuchałem wystąpienia N. E. Storka, pracownika Muzeum Przyrodniczego z Londynu, który mówił o metodach szacowania liczby gatunków na kuli ziemskiej i rozrzucie wyników, jakie dają. Przykłady, które przytoczył, uświadamiają, jak niewiele jeszcze wiemy o tak prostym zjawisku.

Warto także wspomnieć o wykładzie Jeana Davida z CNRS na temat genetycznych eksperymentów nad specjalizacją pokarmową u gatunków *Drosophila*. Doświadczenia były prowadzone na wyspach na Oceanie Indyjskim. Autor pokazał, że w takich miejscach wystarczy do eksperymentu używać jako aparatury plastikowych butelek po napojach chłodzących, aby otrzymać ciekawe i przekonujące rezultaty.

W czasie Kongresu wygłoszono bardzo dużą liczbę referatów, pokazano także wiele plakatów. Biuletyn Muzeum Przyrodniczego w Marsylii, w którym opublikowano streszczenia referatów i plakatów zgłoszonych na Kongres, zawiera ponad 300 pozycji. Kongres trwał 5 dni, co daje średnio 60 prac, z którymi pilny uczestnik Kongresu musiałby się każdego dnia zapoznać. Przyznaję się szczerze, że dla mnie było to zadanie zbyt trudne do wykonania. Tym bardziej, że wiele sesji toczyło się równolegle. Dlatego ilekroć usiłuję przypomnieć sobie, co zostało przedstawione na Kongresie w Marsylii, tylekroć mam w głowie zamęt i pamiętam tylko to, co wygłaszali ludzie o znanych mi nazwiskach. Przypuszczam również, że organizatorzy stanęli przed trudnym zadaniem, gdy ogłosili konkurs na najlepszy plakat Kongresu. Spośród wielu plakatów pokazanych w czasie Kongresu organizatorzy wyróżnili za najlepszą formę ten, który został przygotowany przez A. Kajak, L. Wasilewską i G. Makulca z Instytutu Ekologii PAN.

Parę wieczorów organizatorzy Kongresu wypełnili nam oficjalnymi wizytami. Zostaliśmy zaproszeni do prefektury i do merostwa. Oba spotkania miały taki sam scenariusz. Najpierw przemówienia, o nijakiej treści, wygłaszane przez Francuzów po francusku. Potem wszyscy obecni rzucali się do stołów, jedzenie błyskawicznie zniknęło i zostawały tylko alkohole. W sali, w której tłoczyło się z kieliszkami w rękach kilkaset osób, robiło się wkrótce duszno. W głowie szumiła mieszanina różnych trunków. Więc z ochotą wymykaliśmy się, aby na piechotę wrócić do domu przez ożywioną wieczornym życiem Marsylię.

Bardzo podobała mi się atmosfera tego miasta. W dzień kipiało ono życiem handlowym. Wystarczyło zboczyć z głównej ulicy, aby znaleźć się w zaułku pełnym arabskich sklepików z egzotycznymi towarami. Wieczorem ożywały uliczne kawiarnie i restauracje, szczególnie wokół starego portu wypełnionego jachtami i statkami żaglowymi, dokąd docierał intensywny zapach pobliskiego morza. W dzień i w nocy ulice pełne były pięknych dziewczyn rozsiewających wokół siebie niepokojący aromat perfum. Na każdym kroku krzyżują się w tym mieście losy ludzi szczęśliwych, którzy przyjechali do Marsylii po słońce i odpoczynek, z losami ludzi zagonionych, robiących w tym mieście interesy, i z losami tych, którzy przegrali już swój wyścig do szczęścia i bezdomni zasypiali wieczorami na podłodze dworca kolejowego lub w przedsiionkach bogatych sklepów na głównej ulicy miasta.

Jeden dzień, już po zakończeniu Kongresu, gdy oficjalnie trwała wycieczka pokongresowa do delty Rodanu, poświęciliśmy na zwiedzanie Prowansji. Zaczęliśmy od Aix-en-Provence. W sobotni rano rynek tego miasteczka kipiał życiem. Nieopodal wznosiła się katedra, dziwny zlepek stylu romańskiego i gotyku. Obejrzeliliśmy następnie zamek papieski w Awinionie, przylegającą do niego katedrę z grobowcami dwóch papieży, oraz średniowieczny, prowadzący do nikąd, bo zniszczony w połowie swojej długości, most na Rodanie. Pojechaliśmy dalej do Tarascon, gdzie nad stromym brzegiem Rodanu stoi potężny, średniowieczny zamek, i do Les Baux, miasteczka zawieszono malowniczo na stromym zboczu wapiennego wzgórza. Po drodze odwiedziliśmy młyn stojący samotnie na odkrytym płaskowyzu, ulubione miejsce pisarza Alfonsa Daudeta. Wycieczka zakończyła się w Arles. W rzymskim amfiteatrze, dookoła którego zbudowano to miasto, trwała właśnie corrida. Przyjechaliśmy w momencie, gdy dobijano ostatniego byka. Poprzednie, już oprawione, wisały w chłodni. Miasto szykowało się do nocy pełnej zabawy i wesołości. Corrida ściągnęła masę ludzi, którzy po jej zakończeniu oblegali uliczne kawiarnie i restauracyjki.

Marsylię żegnaliśmy w upalny, niedzielny ranek. Odjeżdżaliśmy ze starego portu akurat wtedy, gdy rybacy wrócili z połowów i wyłożyli na rozstawionych na nabrzeżu stołach to, co złowili. Byłby to doskonały materiał do nauki zoologii.

Droga powrotna była w zasadzie odwróceniem podróży do Marsylii. Odbywała się jednakże dwa tygodnie później, a była to już połowa września. Dlatego im dalej na północ Europy jechaliśmy, tym więcej deszczów i niepogody spotykaliśmy po drodze. Lyon prezentował się jeszcze w słońcu bardzo imponująco, ale nad Burgundią gromadziły się już chmury. Gdy zatrzymaliśmy się na nocleg pod Nancy było już chłodno, a następnego ranka zaczął padać deszcz.

Hotel przy autostradzie pod Nancy dał nam przedsmak tego, jak wyglądać będą w XXI wieku podróże. Drzwi do hotelu można było otworzyć włożywszy do odpowiedniego czytnika kartę kredytową. Komputer sprawdzał jej zawartość, odliczał należność za nocleg i podawał kod potrzebny do otwarcia cyfrowego zamka w drzwiach pokoju hotelowego. Nas, przybyszów z Europy Wschodniej, obsłużyła żywa recepcjonistka. Każdy dostał kartkę z numerem otwierającym drzwi jego pokoju i bardzo jej przez cały czas pilnował, gdyż nie było wiadomo, co robić, gdyby się ją zgubiło, a nie dowierzaliśmy własnej pamięci. W pokoju hotelowym mieściło się tylko łóżko i telewizor. Automatyczne kabiny z natryskami na korytarzu były tak skomplikowane w użyciu, że chyba większość z nas poszła tej nocy nie umyta spać. Słowem bezosobowy, technicyzowany świat. Czuliśmy się jak cielęta w rzeźni niezdolne do żadnego samodzielnego kroku.

Granicę francusko-niemiecką przekroczyliśmy w Saarbrücken. Przejechaliśmy obok rozległych terenów największej w Europie amerykańskiej bazy lotniczej w Ramstein. Trafiliśmy na ogromny ruch na autostradzie pod Frankfurtem nad Menem. Znowu padał deszcz i samochody wznosiły nad drogą chmury wodnego pyłu. W oddali majaczyły wieżowce największych banków w centrum miasta. Koło Giessen skręciliśmy na wschód i krętą autostradą przez Las Turyński pojechaliśmy w kierunku polskiej granicy. To był najdłuższy odcinek w ciągu całej podróży. Chciało się spać, a jednocześnie nogi drętwiały od długiego siedzenia w niewygodnej pozycji. Jeszcze raz mieliśmy okazję przekonać się, że nawet w nocy wschodnie Niemcy wyglądają zupełnie inaczej niż przed dwoma laty. Jaskrawe neony McDonalda, przydrożne hotele i stacje benzynowe, wszystko to nie przypominało poprzedniej epoki.

Nad ranem przekroczyliśmy polską granicę. Nasz przyjazd przerwał wesołej celniczce niewinne figle z kolegami-celnikami. Znowu znaleźliśmy się w hotelu w Zgorzelcu. Zużyte meble hotelowe i pobijane kafelki w łazience uświadomiły nam, że jesteśmy w Polsce.

Janusz Uchmański

Międzynarodowe sympozjum na temat „Współzależności przestrzenne w populacjach zasiedlających heterogenne i mozaikowe krajobrazy, stan wiedzy i znaczenie praktyczne” (Orvelte, Holandia, 2–5 III 1992 r.)

Sympozjum zorganizowane zostało przez Instytut Urządzania Krajobrazu (Research Institute for Nature Management) z siedzibą w Leersum, a głównym organizatorem był prof. Paul Opdam z tegoż Instytutu. Uczestniczyło w nim ok. 35 naukowców, w tym (poza Holendrami) 20 uczestników z Anglii, Danii, Finlandii, Niemiec, Norwegii, Polski, Szwecji i Włoch, zajmujących się różnymi aspektami wpływu mozaikowości krajobrazu na populacje roślin i zwierząt. Obrady odbywały się w starej holenderskiej wsi – skansenie Orvelte, w zabudowaniach gospodarczych przerobionych na hotel turystyczny, co nadawało temu spotkaniu szczególny i niepowtarzalny charakter.

Na program sympozjum złożyły się: cztery sesje referatowe, obejmujące swym zakresem problemy związane z funkcjonowaniem organizmów w zróżnicowanej siedliskowo przestrzeni oraz z tworzeniem nowych krajobrazów w wyniku gospodarczej działalności człowieka, sesja plakatowa, następnie sesja plenarna z dyskusją na temat ekotonów oraz dyskusja nad propozycjami współpracy naukowej i przygotowaniem ostatecznej wersji międzynarodowego programu badań pt. „Ekologiczne problemy w zmieniających się krajobrazach rolniczych: ekologiczne wskaźniki różnorodności biologicznej”.

Ogółem wygłoszono 15 referatów i zaprezentowano 10 plakatów. Referaty zgrupowane były w cztery bloki problemowe.